

# Karol Estreicher

---

## Bruno Bielawski

---

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 10/1/4, 285-297

---

1911

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

„może u mnie będzie, wracając do Krzemieńca“ — pisze Niezabitowski. Mieszkał zaś wówczas, jak już wspomniałem, u swoich rodziców, w Czernelicy, w pobliżu Horodenki, a więc po drodze do Lwowa. Szkoda, że nie wiemy, czy rzeczywiście zawadził profesor krzemieniecki o wioskę młodego poety.

Więcej jeszcze popierałoby przypuszczenie ówczesnego przejazdu Korzeniowskiego przez Lwów to, że miał on ze sobą w Burkucie dramat „Dymitr i Marya“. Dramat ten przedstawiono w naszym mieście poraz pierwszy 4 lutego 1831 r. — zyskał on tutaj powodzenie i wszedł do stałego repertuaru teatru.<sup>1)</sup> Czy wobec tego nie należy wnioskować, że zabrał go Korzeniowski do Burkutu, ażeby wracając do domu, oddać teatrowi lwowskiemu do przedstawienia. A miał we Lwowie krewnego, aktora Bense, który później przez długie lata pośredniczył między nim a tutejszym teatrem. Jemu to posłał już w r. 1825 swoją „Anielę“,<sup>2)</sup> cenzura jednak nie zezwoliła na okazanie się jej na deskach scenicznych.<sup>3)</sup>

Przekład Wilhelma Tella Schillera, pisze Niezabitowski, niepodobał się Korzeniowskiemu. Dużo ustępów z tego przekładu, jak już wspomniałem, znajduje się właśnie w naszych listach poety do Podoleckiego. O drukowanych wyjątkach z niego nic mi niewiadomo, jak również o tem, czy ogłoszono w którym czasopiśmie jego Elegie, a zwłaszcza Szachy. W „Rozmaitościach“ lwowskich drukowano w tych latach wiele utworów poetycznych bezimiennie, współpracownikiem ich był również Niezabitowski. W „Rozmaitościach“ więc trzeba poszukiwać jego poezyi<sup>4)</sup>

Lwów.

*Bronisław Czarnik.*

---

### Bruno Bielawski.<sup>5)</sup>

Drobna moja reminiscencya przeszłości podejmuje zarówno drobny przedmiot. W literaturze naszej tak jak w sprawionym huflu. Są hetmani, są i szeregowcy i ciury literackie.

O hetmanach kraj cały wie, ciury także zjednywają sobie rozgłos, pragnąc hetmanicę opinią narodu, jego imieniem, pchając

<sup>1)</sup> Czarnik: Korzeniowski i teatr lwowski str. 11—15.

<sup>2)</sup> Korzeniowski i teatr lwowski str. 7—10.

<sup>3)</sup> Hahn Wiktor: List Korzeniowskiego do Paümana. Pamiętnik Literacki 1904 str. 120—123.

<sup>4)</sup> W „Rozmaitościach“ z r. 1831 (nr. 2 str. 14—15), a więc z roku śmierci Niezabitowskiego, znajduję n. p. bezimienny utwór poetyczny p. t. „Elegija“.

<sup>5)</sup> Artykuł niniejszy pochodzi z teki pośmiertnej nieodżałowanej pamięci Karola Estreichera. Przeznaczony był pierwotnie

się na czoło. Jedni szeregowcy padają kolejno — zapomniani rychło.

Ledwie że w raporcie dziennym pism czasowych, wyczytujemy o którym: „Ubył z szeregu“.

A jak ubywa? Rozmaicie, a częstokroć z żalobą tych, którzy go znali. Jednego nadmiar nędzy osadza w szpitalu, drugiego żądza zwalczenia losu wiedzie do rozbijania głowy o mur, trzeciego chęć zagłuszenia siebie zwraca do apostołstwa uciech, aby w nich rychło wycieńzonego żywota dokonać.

Szlachetne umysły pragną co rychłej czynu, nie bacząc na skutki. Gorąca krew wytwarza gorącość ducha.

Mój szeregowiec, o którym opowiadam, miał też same uspojenia. Marzył o tem, aby zginął od kuli, — wymarzył, zginął od kuli, ale nie pod znakiem chorągwi.

Nie zapał zadał mu śmierć, lecz zapalczywość, nie przeciwnik, lecz druh z jednego obozu. Tylko galicyjskie stosunki wywołać mogły taką sytuację. Tylko w odłamie literatury naszej słychać ten szczeł starć i utarczek obozowych we własnym obozie, walki niby o zasady, bez istotnych różnic w zasadzie. Szeregowiec, o którym kreślę to wspomnienie, padł ofiarą tego życia gorączkowego.

On, serdeczny towarzysz Mieczysława Romanowskiego, nie oczekiwał, aby obok niego głowę położyć. Dobrowolnie „ubył z szeregu“ o lat dwa zawczasie.

Kto dzisiaj słyszał o owym szeregowcu w literackim hufcu? A jednak miał on z towarzyszem swoim wspólny entuzjazm, jedne pragnienia i mogli obydwaj pod jednym położyć się sierpem.

Poetę zna społeczność nasza, a że obok niego rwał się do zasług młody pracownik nikt dzisiaj nie wie.

Pracownikiem tym był Bruno Bielawski, trochę poeta, trochę pisarz ludowy, a na wskroś entuzjasta.

Był on gorączką, iskrą wybuchającą w płomień, duchem niespokojnym. Praktyki życia nie pojmował, zarobku systematycznego nie rozumiał. Stąd niestateczny, zmienny, przerzucający się od jednych zajęć chlebobajnych do drugich.

Stoi ta postać przed oczyma wyobraźni mojej. Drobna, niemal liliputowa, czarna, ogorzała, z ruchliwym iskrzącym wzrokiem, małym wąsikiem i bródką, a czupurną miną. Zdało się, że jedną ręką można było przygiąć go ku ziemi, lecz skoro raz odezwał się, zapominano o drobnych jego kształtach.

---

do pewnej publikacji zbiorowej; druk jednak nie doszedł tam do skutku, gdyż rękopis autorowi gdzie się zatracił i dopiero po latach zdefektowany wyszedł na jaw. Wielkiej uprzejmości prof. dra Stanisława Estreichera zawdzięczamy możliwość umieszczenia tych wspomnień w naszym piśmie.

*Redakcja.*

Miał przyjaciół, do których garnał się sercem całym, ustępował z drogi pansom i półpansom, których nie znosił. Kochał lud, i żył wśród ludu. Marzył o nim sielankowo, i pragnął w nim dopatrzeć stron idealnych, których w rzeczywistości nie łatwo dostrzedz. Wracał na myślą i uczuciem ku tym, wśród których urobił się jego umysł pogodny, język szczery a jowialny, obejście szorstkie i nieogładne. Była to dusza prosta, nie szkodząca nikomu, a chętnie dla bliźniego otwarta.

Poznałem go w Krakowie. Wyproszony z łam „Czasu“, po jednym w r. 1852-im debiucie, zwróciłem się z fantazyą poczynającego autora do Felicyana Łobeskiego, redaktora „Dziennika literackiego“ we Lwowie. Mniej wybredny redaktor, uchwycił nowicyusza i kazał mu dobijać się sławy korespondencyami.

Sylwetki pisarzy krakowskich i teatralne plotki, zwróciły na mnie uwagę Jana Dobrzańskiego, któremu markotno było, że to nie on „nowego literata“ wyprowadził.

Nasłał na mnie pokusę w postaci Brunona Bielawskiego. Zjawia się zatem u mnie Bielawski w miesiącu kwietniu r. 1854-go i proponuje imieniem Dobrzańskiego współpracownictwo w „Nowinach“, z którymi też związałem stosunek.

Bielawski zatem zbliżył mnie do redaktora, umiającego zużytkowywać siły amatorów autorstwa. Pisywał on do „Nowin“ wierszyki, za które czasem coś mu się okroiło. Klepał zresztą biedę, a że uniwersytecka nauka ani mu szła do głowy, ani go nęciła, uznał, że najlepiej będzie zostać literatem. Nie pierwszy to literat — z potrzeby.

Jednakowoż korciło go to, że nie ma gruntu pod sobą, że istnienie jego zawisło od okoliczności. „Są ludzie (mawiał on), którzy mają cel pewien wytknięty w życiu, dążą doń, służą tem samem społeczeństwu. Szczęśliwi oni! Są znowu inni, a ja należę do nich, którzy nie mają żywiołu, nie oddali się zajęciu, któreby ich dźwigało. To rzemieślnicy bez cechu, oni są jak wiatr. To suszą pole, to spędzają chmury, Bóg wie co jeszcze! i kiedyś jako wiatr przepadną Bóg wie gdzie. Za lat kilka zapomną o nich, że kiedyś żyli na świecie“.

Nie przybierał jednak sobie do serca zbytecznie tej jałowości umysłu, która jak mniemał, nie pozwoliła mu wyrobić się na specjalistę. Przeciwnie, troskę codzienną o przyszłość odganiał piosenką wesołą, którą często miewał na ustach:

Polska mnie zrodziła, z jej mlekiem wyssałem  
 Być ojczyźnie wiernym a kochance stałym,  
 A jeżeli zginę w rycerskiej potrzebie,  
 Nie rozpaczaj dziewczę, obaczym się w niebie.

Taką piosnką przerywał każde zasepienie myśli. Było w nim zawsze coś burszowskiego, co wrywało mu z piersi okrzyk: „Jakoś to będzie“ pomimo, że szło mu ciężko i na opak.

Ta burszowatość, ta hardość w drobnem ciele, nie dozwalała mu płynąć za prądem codziennych stosunków. Urodzony w Nehrybce (w przemyskiem, nieopodal Medyki) uczył się zrazu w Przemyśle, potem oddano go do Jezuitów we Lwowie. Konwikt nakryty sutanną, nie mógł go oswoić z rygorem. Uparty i nieugięty, płatał psoty pobożnym ojcom, a łamany karami, buntował się tem zapalczywiej. W r. 1848-ym rozwiązano konwikt. Wyleciał więc ptakiem z tej atmosfery, a z całej edukacji to tylko zapamiętał, że mu tam było ciasno i duszno.

Przeniesiono go do gimnazjum w Bochni, a w końcu do Krakowa.

Dalszych nauk było mu już za wiele. Zresztą trzeba było żyć, a uniwersytet nie poi i nie karmi biedaków. Zaciągnął się na praktykę do Dyrekcji skarbowej. Ta wcale mu nie smakowała, ale cóż było robić?

Rubrykując, szeregując cyfry, unosił się myślą po przestrzeniach fantazyi i dopadkami na odrzeżach poważnego fascykułu rzuczał zniecka wierszyki.

Młodzieży rymującej nigdy nie zbraknie. Lecz dla młodzieńczego rymu lub prozy, nie było ujęcia w Krakowie. Panowała niepodzielnie tylko polityka „*Czasu*“.

Śmielsi więc cisnęli się do „*Dziennika literackiego*“ we Lwowie, jeżeli im Szajnocha nie odpowiedział słowy: „Zawczasie kwiatku, zawczasie“. Mniej ryzykowni szukali uścisku ręki Stalmacha w „*Gwiazdce cieszyńskiej*“, który chętnie przyjmował zasiłek pieniężny, zarówno jak literacki.

Było zaś kilku młodzieńców majątnych, którzy pisując, zarazem zabezpieczali materyalnie istnienie wątłego dziennika.

Zastęp pracowników rozpoczyna Antoni Białecki, ówczas uczeń gimnazjalny, dziś wysłużony profesor Uniwersytetu. Podpisywał się Antoni Niezgoda. Pisał on wiele i o wszystkim. Za jednym Niezgodą szli dalsi w r. 1855-ym jakoto: Ponowa Niezgoda, Władysław Niezgoda, Stanisław Niezgoda, Paweł Niezgoda.

Wspólność pseudonimu świadczy, że prace „gwiazdkowe“ płynęły z wspólnego grona.

Pisywali ówczas: Władysław Wierciszewski, Mieczysław Dzie duszycki, Stanisław Nowiński, Ludwik Krajewski, Władysław Koziobrodzki, Władysław Siemoński, Bożenna Kuszłówna (Walewska) i nasz Bruno Bielawski.

Ostatni miał tam udział wybitny, umieścił dwie powiastki dłuższe i parę wierszyków, ale że ich nie podpisywał, trudno dziś dochodzić autorstwa. Mniej jeszcze brał udziału w „*Nowinach*“, bo ograniczał się krótką korespondencją.

Ku jesieni r. 1854-go porzucił urząd i Kraków. Osiadł u brata, na ojczyściej wiosce, Nehrybce. Pociągała go urokiem gospodarka, ale gdy zaznał jej praktycznie, rychło urok przeminął. Nie zagrzał i tu miejsca.

„Szukałem zawodu praktycznego (opowiadał) i zakosztowałem rozmaitych. Mógłbym rzec o sobie, jak mówią Litwini: „Pstry jest dzięcioł, ale życie bardziej pstre“. Od chwili wydobycia się z niewoli jezuickiej, pokosztowałem tego i owego: literatury i gospodarki, urzędu i pisarstwa, rachunkowości i bibliotekarstwa, apteki i belferki, ale czyż moja wina! nie poczułem się nigdy w swoim żywiole, nie zasmakowałem w niczem o tyle, by mi ta jedna potrawa nie przejadła się rychło“.

Możeby wszelako literatura mu smakowała, ale ta nie żywiła. Redaktorzy galicyjscy nie płacili w zasadzie. „*Nowiny*“ miały cenę „teoretyczną“ po 16 złotych od arkusza druku. Jeden Sartyni dawał z „*Gazety Lwowskiej*“ po 25 florenów za arkusz, ale nie przyjmował wierszy, korespondencji, ani powieści.

Bielawski widząc, że manna redaktorska nie żywi literata, tylko jego autorskiej próżności dogadza, szukał oparcia praktycznego. Więc ruszył od brata do rodziny w Przemyślu. Tu rozcierał proszki w aptece i nalewał flaszki z miksturą.

I ta próba zawiodła. Rzucił to wszystko i pełnemi żaglami nadziei pechany popłynął do stolicy. Zakosztował nauczycielstwa domowego, ale sam nie umiał belferować, bo nie miał studyów uniwersyteckich. Uczepił się wreszcie Biblioteki Zakładu Ossolińskich.

Zdawałoby się, że dla literata, biblioteka, to Przylądek dobrej nadziei. Lecz kto nie ma zamiłowania do poważnej, jednostajnej pracy, ten nie wytrzyma w murach zapyłonej wiedzy. A jakże jeszcze było tu wytrzymać z zasuszonemi figurami, których typem był zimny, surowy, milczący August Bielowski.

Zeszli się podobni nazwiskiem, a wręcz odmienni usposobieniem. Bielawskiemu zawsze tylko psoty roily się w głowie. Oprowadzając gości po bibliotece, na czynione sobie nieraz zabawne zapytania, dawał zabawniejsze odpowiedzi wysnute z fantazyi, lecz rezolutnie rozstrzygane. Gość, zainteresowany opowiadaniem, pytał młodzieńca o nazwisko; słysząc: *Bielowski* rozumiał, że to: *Bielowski*, sławny historyk. I szły powiastki urojone na świat z tej księżnicy, na karb poważnego dziejopisa.

Nie pamiętam, czy Bielawski miał za owych czasów własny zegarek, ale wiem, że nigdy z nim się nie zgadzał. Cierpliwemu Bielowskiemu było tego za wiele. Gdy się więc spóźnił do czytelnika, którą dozorował, rzekł mu pryncypał:

— Panie Bielawski, bierzesz płacę z funduszu narodowego zakładu, a obowiązków nie dopełniasz. Te pięć minut dziś, wczoraj, i tak często urywane, są to minuty skradzione Ojczyźnie!

Zabolała srodze Bielawskiego ta słuszna wymówka, więc się już więcej w bibliotece nie pokazał.

Pozostawało więc mu jedyne schronienie się pod skrzydła krewniaka, Jana Dobrzańskiego. Ten, wydawał wówczas „*Nowiny*“ dwa razy w tydzień, w wielkiej éwiartce, dając je rocznie za

6 złotych. Cena niesłychanie niska, niepraktykowana do owego czasu.

Aby wydażyć z wydawnictwem, musiał zatrudniać młode siły, bo samby nie podołał, zwłaszcza, iż ani był systematyczny, ani zwolennikiem punktualności. Umiał on prowadzić pismo swoje. Chwytał młodź, bo ta robiła więcej dla honoru, jak dla grosza, mógł więc ją zaspokajać, w miarę możności i swej dobrej chęci. Zasłużył się też literaturze naszej, iż nieznanym, nieśmiałym przystąpił i na nogi stawał. Zrazu poprzestawał na literackiej fabryce, ale że polityka była zawsze tłem życia galicyjskiego, osadzał on literaturę w ramach o barwie politycznej.

Jan Dobrzański, o którym już wypowiadałem zdanie moje to w historii teatru lwowskiego, to w życiu Wincentego Pola, to w „Powieściarstwie Galicyi“ („*Biblioteka Warszawska*“ 1860 I.) nie przedstawiał się nigdy w rzeczywistości tak groźnym szermierzem, za jakiego zawsze uchodził.

Tym, którzy nosili mundur, szpadę z osadą z perłowej macicy i kapelusze trójgraniaste, nie wolno było bezkarnie przekroczyć, choćby z ciekawości, progu mieszkania groźnego redaktora! Sam tego doświadczyłem na sobie. A jednak był to człowiek spokojny, na pozór, małowomny, nie patrzący w oczy, mocno roztargniony, szepczący raczej niż mówiący, zawsze rozczochrany, a w mieszkaniu swem bezładny, niesystematyczny.

Jeżeli życie porównujemy do sceny, to na scenie tej większo redaktorów odgrywa rolę magików: Boska, Trikła, Siemensa, lub Siedleckiego. Im redakcyja zręczniejsz wydobywa z próżnego kapelusza bukiety, wstążki i salaterki z rybami, tem budzi żywszy podziw gawiedzi literackiej. Wszelkie sposoby godziwemi się zdają, byleby wiodły do celu.

Jan Dobrzański był więcej zaciekłym, aniżeli złym w samej istocie. On tylko trzymając się zasady, że: dziennikarstwo to wojna, gotów był dla interesu dziennika poświęcić wszelkie względy. Miał jednak zaletę, że nawet, temu, z którym piórem wojował, osobiście nie okazywał zawziętości, przestawał z nim po staremu, a za zmianą okoliczności bywał znów na dawnej stopie zażyłej przyjaźni.

Poufalił się łatwo, chętnie chwalił sojuszników, zapłacił i za mierność, stąd nie brakło mu nigdy czeladzi literackiej.

Bielawski zaprzągnął się do jego rydwanu, choć nie miał zdolności do roboty fabrycznej. Lubił rymować, a tu domagano się codziennie prozy.

Mamy z tego okresu uczestnictwa w „*Nowinach*“ nieco rymowanych utworów Bielawskiego. Drobne, skromne, niewykończone co do formy, ale rozwijające myśl szczęśliwie.

Bezpretensjonalność jest ich zaletą. W r. 1854-ym umieścić: Wieczna tęsknota, Prośba majtka, Ucieczka, Jan i mucha, Nam

jako tako. W r. 1855-ym: Łódka, Nadzieja, Szczęść Boże. W r. 1856-ym: Na kolendę, Stary sługa, Sierota, Rzeczywistość.

Że te wierszyki, acz proste i na pozór zwyczajne, nie bywały bez wdzięku, można się łatwo przekonać, odczytując którykolwiek jak n. p. Łódka:

Z lichego przystani żywota  
Wybiegła łódka sierota,  
Spowita pieluchą fali;  
Burza strzaskała jej wiosła,  
Na zdradne głębie uniosła  
I rzekła: „Płyn sobie dalej“.

Lecz weźmy inny wierszyk: Sierota.

Wieczór, w twarz bije marcowa ślota,  
Jam szedł w żałobie westchnąć do Boga,  
I gdym smętarnie pomijał wrota,  
Spostrzegłem blade dziewczę u proga.

I pytam: Skąd ta szata żałoby?  
Na twarzy bladeść? w oczach tęsknota?  
Dziewczę wskazało rączką na groby,  
I wypłakało z serca: Sierota.

Sierota? Dziewczę, patrz w oczy moje,  
I jam sierota i mnie iza boli!  
Na groby ojców chodźmy oboje,  
Zaradzić naszej sieroczej doli.

Prozą wydrukował Opowiadanie barona Palonczej, Przyjemności życia wiejskiego. Do „*Gwiazdki Cieszyńskiej*“ posłał obrazek ludowy: Trzy życzenia.

Zaznawszy literackiego chleba w warsztacie rzemieślniczym, obrzydził go wszakże sobie — porzucił go i wyniósł się na wieś, do rodziny.

Stamtąd dawał znak życia od czasu. Napisał powieść ludową w jednym tomie p. t. Opowiadanie starego ułana. Chwalił ją Dobrzański r. 1858-ym w „*Dzienniku literackim*“, ale nie wydrukował.

W „*Dzienniku*“ tym, powstałym w miejsce „*Nowin*“, zachwianych konfiskatami, zamieścił wiersze r. 1856-ym: Wiersz do obrazu, Maj i grudzień, Żebrak. W r. 1857-ym: Trójka cyganów (z Lenaua), Ziemia nasza.

Zjawia się ponownie w r. 1859-ym we Lwowie. Żyłka literacka wypędziła go ze wsi. Ale dotąd wierszował tylko. Był sobie kornikiem polnym, nie mrówką. I to jeszcze wierszował kiedy



miał ochotę. Nie umiał pisać na zamówienie, tem mniej dla sentymentu. Radził tego rodzaju wierszopisom:

I zamiast pisać cliwe piosenki,  
Lepiej niech dratwę weźmie do ręki,  
A szyjąc buty dla bosej braci,  
Może dług łatwiej Ojczyźnie spłaci.

Konikowe życie już mu obrzydło. Zapragnął mrówką pozostać.

Stało się według życzenia. Drukarz Edward Winiarz obmyślił wydawanie pierwszego ludowego w Galicyi pisma p. t. „*Dzwonek*“.

Pismo ukazało się w miesiącu lipcu r. 1859-go, a tak umiało dogodzić potrzebie, że od razu narosło tysiąc prenumeratów. Redakcyę objął Bruno Bielawski. Teraz dopiero odżył, pisanie dla ludu zapalało go, ożywiało.

Całoroczna redakcyja szła rączo i składnie. W pracy pospólnej szli o lepsze: Ludwik Wolski (później adwokat w Wiedniu), Juljusz Starkel i Walery Łoziński, wszyscy trzej wyróżniający się zdolnościami. Ostatni rozwinał osobliwy dar humorystyki, ożywiającej powiastki ludowe. Bielawski sam dostarczył dość licznego pocztu utworów jako to: Klasztor w Częstochowie, Historya o Kazimierzu Korsaku, Ś. Wojciech, Ś. Stanisław, Ś. Izidor, Ś. Jacek, Ś. Kinga, O nowym roku, Niby bieda, Król w kumach, Śmierć króla Popiela, Każdy stan sobie dobry, Tatarzy, Mieczysław i Dąbrówka, Bolesław Chrobry, Mieczysław II, Kazimierz Mnich, Bolesław Śmiały, Władysław Herman, Bolesław Krzywousty i kilka innych. Pisanie powiastek pozostawił zdolniejszemu pióru. W pisaniu wierszy wyręczali go Mieczysław Romanowski i Ludwik Wolski.

Redagowanie „*Dzwonka*“ zespoliło Walerego Łozińskiego z Bielawskim. Dwaj przyjaciele zamieszkali razem i odtąd byli nierozłączni.

Zespolenie ich było tak naturalne, tak zwracające uwagę, że gdy się jeden gdzie zjawił, oczekiwano zjawienia się drugiego. Temperamenta obudwóch były na pozór w harmonii. Obadwaj nie myśleli o jutrze, obadwaj bez trosk i bez rachuby, obadwaj gorączkowo-nerwowi. Jeden atoli szedł w świat z anekreontyczną piosnką na ustach, drugi z fantazyą pragnął zaspokoić gorączkę młodości.

Łoziński, lubo rozwijał coraz piękniejsze zasoby pióra w kierunku powieści, musiał troszczyć się o dostateczne utrzymanie. Szajnocha więc, objawszy redakcyę „*Rozmaitości*“ przy „*Gazecie Lwowskiej*“ umieścił tam i Łozińskiego, chociaż Sartyni nie lubił burzliwej młodzieży.

Wkrótce Dobrzański nie omieszkał poznać się z młodym, utalentowanym pisarzem i zjednać go dla „*Dziennika literackiego*“.

Tutaj zetknął się Łoziński z powieściarzem Józefem Dzierzkowskim, Juwenalisem w piórze, ale i w życiu. Wątki młodzieńcze, któż wie, czy nie uległyby przewadze przewodnika, gdyby nie Bielawski, który rozwijał czynność i braterską opiekę nad swym przyjacielem.

Umiał to ocenić Łoziński, otrząsał się z tych wpływów, nie tracił świadomości obowiązków i trwał na drodze szlacheckiego kierunku. I byłby kiedyś zaszczytem kraju, gdyby nie smutny zamęt wypadków, który jego i Bielawskiego rozłączył.

Zakotłowało wówczas w lwowskim światku literackim, wybuchły gorszące waśnie i kłótnie, nastąpiła dezercya wielu z „*Dziennika literackiego*“, powstał zaś pod firmą Hipolita Stupnickiego, który Bogu ducha winien, uprawiał literaturę jak włościanin uprawia ziemniaki lub kapustę — polityczny „*Przegląd powszechny*“. Na pismo to dał kaucyę znany artysta malarz Kornel Schlegel. Wrzało coraz gwałtowniej, nieporozumienia i swary, polemiki gwałtowne wlokły się długim łańcuchem. Tak przyszło do głośnego przemówienia się pomiędzy Dobrzańskim a Łozińskim, a zatem, jak wtedy w czasach gorączki powszechnej było bardzo w modzie, i do orężnej, ostrej rozprawy.

Po pojedynku uszedł Łoziński ze Lwowa, gdy już zaś zaabliźniła się rana na głowie, powrócił z początkiem sierpnia i sam się zgłosił do sądu karnego, gdzie toczyła się sprawa jego o pojedynek.

Ta przygoda dała mu wiele do myślenia. Zerwał różne stosunki i odrodził się życiem nowem, zawsze myślą szlachezną natchnionem.

Nie traciłem go z oczu, miałem słabość do niego, ceniąc wielkie jego zdolności. Nie wątpię, że byłby chwałą narodu, ale losy widocznie chciały mieć inaczej.

Ku jesieni, szły wieści po kraju o Garibaldi, o karcie Europy, o zaciągach. Ten i ów cichaczem opuszczał Galicyę. Naraz w d. 15 października jeden drugiemu podawał, że znany i wielbiony poeta, a z nim i redaktor „*Dzwonka*“, ujechali do huców bohatera w czerwonej koszuli.

Wyjechali to prawda, ale nie dotarli tak daleko. Osiedli w Jassach.

Bielawski, przed swoim odjazdem, fotografował się na jednej karcie z Łozińskim i Juliuszem Starklem, na którego barki złożył redakcyę „*Dzwonka*“.

Miał za nim pospieszyć i druh jego Łoziński, ale wyczekiwał jeszcze i tymczasem pracował.

Z okazji repertuaru, drukowałem artykuł o teatrze, wytykając małe uwzględnienie pisarzy polskich. To skłoniło dyrektora Nowakowskiego, iż zamówił komedyę u Łozińskiego. Stąd powstała ludowa farsa Bakałarz i Druciarz, przerobiona z własnej jego komedyi: *Verbum nobile*.

Z powieścią Czarny Matwij, nie wiodło się Łozińskiemu, bo nowy dyrektor policyi Hammer, długo wzbraniał jej druku, twierdząc, że wszystko jest podejrzanem, cokolwiek nosi firmę Łozińskiego! Była to zemsta za niekorzystne malowidło dwóch znanych urzędników czerniowieckich, których w poprzednich powieściach odfotografował Łoziński.

Spadła jeszcze na Łozińskiego jedna czynność. Młody literat Karol Cieszewski, ale niedouk, pragnący znaczenia w literaturze, otrzymał koncesyę na wydawanie pisma „Czytelnia dla młodzieży“, na które zebrało się 300 prenumeratów. Pod jesień r. 1860 wyjechał Cieszewski na kuracyę do Priessnitz, zdawszy redakcyę „Czytelnia“ na Łozińskiego. Ten jednak dla różnych racyi usunął się rychło, nie chcąc Cieszewskiemu zawadzać. Przyszło też niebawem między nimi do groźnego konfliktu.

Cieszewski, malowany redaktor, zapalczywy, nie ważył słów swoich. Stąd też niezwłoczne wezwanie na szablę. Nierówna to walka. Łoziński niski i krótkowidz, Cieszewski dobrego wzrostu i silnie zbudowany. Więc gorączkowego niedowidza, jednym zamachem szabli powalił na ziemię, sam lekko skaleczony w rękę. Łoziński z rozplataną czaszką, oddany do szpitala, gdy nazajutrz się obudził, pierwsze z ust wyrzucił słowa: „Jak tylko wyzdrowieję — będę się uczyć fechtować?“ Taka była zaciekłość dwóch niegdyś serdecznych.

Gdy się to działo, wierny druh Łozińskiego, mały i czupurny Bielawski, żądny niegdyś czerwonej koszuli włoskiego republikanina, ani rusz wyostać się z Rumunii, rozdrażniony więc chodził po bruku w Jassach i tęsknił za powrotem do Lwowa.

W takim usposobieniu nic dziwnego, iż był niezośny. Politykując w kawiarni z urzędnikiem telegrafu Trzaskowskim zarzucił mu, że „chodzi w magnackiej liberyi, zaprzedał duszę za pieniądze“. Stąd zniewagi, które doprowadziły do pojedynku d. 17 stycznia 1861.

Pierwszy strzał miał Bielawski z metą od 21 do 7 kroków. Chybił. Przeciwnik, uznając błahość sporu, nie chciał teraz strzelać. Bielawski zmusił go do tego. Więc odwrócił głowę i mierząc w dół, wystrzelił. Los chciał, że pistolet zerwał mu rękę, a kula uwięzła w Bielawskim!

Zabójca bolał srodze nad tem nieszczęściem. Bielawski konał trzy dni. Kuli nie umiano wydobyć. Umierał ze swobodą umysłu, powtarzając od czasu do czasu kilka wierszy ze świeżo napisanego przez Ujejskiego Marsza bojowego:

Naprzód! naprzód! herbowni, izraelscy, siermiężni!  
wmawiając w wyobraźnię swoją, iż kona na pobojowisku. I stało się, że spotkało go to, czego się obawiał najmocniej: skonał na obcej ziemi. Przeczował on tę dolę, bo zażegnywał ją pieśnią:

Nam jako tako! na własnej ziemi,  
 Ojciec i matka pieaszczot nie szczędzi,  
 I cierpieć milej między swojemi  
 A choć i umrzeć — na własnej grzędzie.

Ale kto losu burzą pędzony,  
 Tułać się musi drogą żywota,  
 Któż w obce pójdzie pocieszać strony,  
 Gdy go za krajem porwie tęsknota.

Któż się zlituje między obcemi,  
 Kiedy zawoła w chwili skonania:  
 Chociaż piędź ziemi! garstkę mej ziemi!  
 Podajcie ludzie do pożegnania!

N a m j a k o t a k o. 1854.

Zabójca Bielawskiego doniósł do Lwowa telegrafem o jego śmierci. Stało się to d. 21 stycznia 1861. Tak zmarniał niedoszły legionista!

Tymczasem Łoziński pozostawał w szpitalu pod opieką dra Nagla. We dwa tygodnie, gdy rana nieco się zagoiła, doktor zezwolił na opuszczenie szpitala, celem zmniejszenia odpowiedzialności sądowej za skutki pojedynku.

Miał przykazane nie wydaleć się z mieszkania. Lecz gorące zawsze usposobienie, gnało go pomiędzy ludzi. Biezał po mrozie z obwiązaną głową do redakcyi „*Głosu*“. Przeziął raz do kości. Wywiązało się zapalenie mózgu.

Choroba jego obudziła ku niemu współczucie całego miasta. Nie zawierały się drzwi przed troskliwymi i przyjaciółmi. Miał zachowanie wielkie w świecie teatralnym. Artyści i artystki kolejno czuwali nad nim u łóża szpitalnego. Z ust jednej z nich dowiedział się na chwilę przed śmiercią o zgonie przyjaciela w Jassach!

Umarł po chrześcijańsku, w tydzień po Bielawskiego pochowaniu, wypowiadając żal, że nie mógł dłużej służyć krajowi, stawszy się straconą placówką.

Żal był wielki, szczery, głęboki po jego utracie. Pogrzeb majestatyczny. Młodzież niosła trumnę na barkach na przestrzeni blisko pół milowej. Pochowano go na wysokości góry cmentarnej i postawiono wspólny nagrobek dla dwóch przyjaciół.

Tak zmarli jednocześnie, jedną śmiercią, nie wiedząc o sobie. Nie pierwszy to przykład zmarnowanych talentów, zmarnowanych z blahego powodu. Marniały i później inne, lecz nie tak tragicznie, choć równie młodo, wskutek braku równowagi w życiu i szczepienia w nich zasad życia gorączkowego.

Stosunki te dziś zapomniane. Odgrzebie je kiedyś historyk oświaty galicyjskiej, gdy mu wpadną do ręki liczne broszury po-

lemiczne. Dziś, po latach 25, jakaż zmiana! Iluż to pracowników, czynnych naówczas, ubyło z szeregu. Została tylko gromadka, w której mało już który pamięta o tem, co zaszło za jego młodości.

Opowiedziałem niewielki ustęp z domowej kroniki literatów lwowskich. Stosunki te nie zmieniły się dotąd, lecz zmienili się ludzie. Też same namiętności, też same egoistyczne naginania opinii dla osobistych celów, toż samo niezadowolenie wyrosłe często z zawiści. Są wyjątki, ale jakże niewielkie!

Historja jednego pisarza opowiedziana przezemnie, jest historją wielu zmarnowanych talentów. Życie Jana Lama i jemu podobnych służy za świadectwo prawdziwe słów moich.

Zjawiają się corocznie niepoślednie zdolności, ale im brak podstawy. Lekceważenie szkół, imanie się przedwczesne pióra, szukanie urojonych nowych idei, brak wytrwałości w zawodzie łamią wszelką zdolność przyrodzoną.

Zniechęceni, tracą samodzielność, poddają się kierunkowi spekulantów literackich, heroldów własnego sztandaru. A choć niejeden zabłyśnie na chwilę światłem olśniewajacem, rychło upada, bo zbrakło mu naukowego gruntu.

Dwaj młodzieńcy, których wiodłem w tem opowiadaniu, byli zdolni, pohopni do poświęceń, energiczni, serdeczni uczuciem, niezwyčajni, szlachetnych pragnień, — lecz niedoświadczeni, imając się pióra przedwczesnie, rychło padli ofiarą młodości i złudzeń.

Sam zapas nie wystarcza do służby, tak, jak samo głoszenie o „podniesieniu pochodni postępu“, nie posuwa tego postępu. Wdzianie na siebie siermięgi, nie podnosi jeszcze ludu. Gardłowanie za ludem nie podnosi n a r o d u. Wyrządza się tem szkodę społeczeństwu, nie przynosząc mu pożytku.

Głośny zapał mniej dokonać zdoła, niż cicha praca. Chwilowy entuzjazm mniej owocu zostawia, niż zółwi ruch myśli pracownika. Marzenie o przeistoczeniu społeczeństwa nie posunie czynności przeistoczenia.

Apostołów nigdy u nas nie brakło, brakowało zawsze równowagi teorii z praktyką. Deklamatorstwo na zimno zdobywało posłuch opinii, gdy gorące spełnianie obowiązków zdobywało uznanie — po śmierci. Kuglarze tracą już dziś mir na scenie, nie stracili jeszcze na arenie życia narodu.

Ceniony poeta w mowie z d. 17 maja r. 1871 podniósł posłannictwo tego kierunku w narodzie:

„Ludzie ducha, ludzie natchnienia więcej żyją przyszłością świata, nizeli jego chwilą bieżącą, dla jego przyszłości cierpią i pracują. Sieją, aby inni zbierali“.

Świetnie to powiedziane, i prawie dla galicyjskich słuchaczy. Urojona praca ducha, osłaniająca sybarytyzm, życie światem przyszłości, aby terazniejszość bezczynnością zbywać, porywy celem wskazania dróg, aby z ubitego toru zejść na manowce — oto kie-

runki, które już zmarnowały i jeszcze zmarnują setki młodzieży, idącej za syrenim głosem ułudy, wydawanym przez ludzi, których nie stać na zdobywanie sobie zasługi drogą prawdy, pracy i bezinteresowności.

Tem gubią się młode pokolenia, tem przygotowuje się naród do zagłady, a obserwator niewrażliwy na widma mglistych obrazów, zapisuje codziennie padającą ofiarę oszukańczej teorii mniemanych nowych dróg postępu: „Ubył z szeregu — zawcześniej”.

---

Ten urywek z wrzącego życia literackiego w Galicyi, jest jednym z nieskończonej wielkiej liczby szczegółów, które bacznemu historykowi literatury lat ostatnich, nie powinny ująć z uwagi.

Pochód bowiem oświaty u nas, kilkoma bieżąc strumieniami z wcale odrębnych pobudek, zlewać się winien w myśli badacza w ogólną harmonię.

Omyłką jest pisać, mniemać, lub wmawiać, że dziennikarski ruch samej Warszawy, jest czynnikiem przeważnie wpływowym ogólnego ruchu całego kraju. Spory statecznych młodych i starych szermierzy ani nas obchodziły, ani znanymi były w kraju, ani wpływu doniosłego, lub jakiegobądź ubocznego mieć nie mogły. Przebrzmiewały w obrębie rogatek. Czynnikiem prawdziwej oświaty narodu nie były, ani do jej przeobrażenia nie przychyliły się.

Nawzajem, prowincya wyrabiała ludzi u siebie i przez siebie. Ci urastali, lub upadali w szermierce nie wywierając wpływu poza stosunki prowincyi.

Historyk literatury rozważy stosunki jedne i drugie, ale roztropnie zrobi, jeżeli tym miastowym zapasem nie przypisze znaczenia stopni, po których wznosiła się całość literatury narodowej. Całość ogarnie on nie z poziomu areny, ale z wysokości, na którą wzniesić się umiał.

Literaturę podnoszą nie bojownicy dziennikarscy, nie ich hasła, nie ich teorye, nie ich sztandary, nie przechwałki o postępie, nie ich dorywcza wiedza, — lecz ci, którzy stoją poza szrankami wyścigów: geniusz poety i uczeni.

Kraków.

*Karol Estreicher.*